



ŻMICHOWSKA

NA WYSTAWIE PARYSKIEJ

1867 roku *).

Narcyza Żmichowska, jak wiadomo z wydanych listów, jeździła w roku 1867-ym na wystawę paryską. Wrażenia jój znane są po części z opowiadań, po części z drukowanych listów, lecz w seryi przygotowujących się do druku korespondencyi, odnajdujemy dwa nadzwyczaj cenne dokumenty, które tak obrazowo przedstawiają epokę i tyle myśli nasuwają dzisiaj z powodu wystawy lwowskiej. Jeden był pisany do mnie, drugi do oddalonego siostrzeńca Z. R. Paryż ciągnął Narcyzę nieprzeparcie, z powodu ukochanego ponad wszystkich ukochanego brata Erazma, z którym się tam miała spotkać (Mieszkał on bowiem w Rheims, jak wiadomo). Przytém miała ona w wysokim stopniu żądzę spojrzenia świata oko w oko niejako; postęp ludzkości, zbliżenie się jój do ideału prawdy i piękna, leżał jój na sercu więcej, od jakiegóś osobistój zdobyczy. Genialnym rzutem wyższej intuicji, zdawała sobie sprawę z ogólnego ruchu i stanu umysłowego za pomocą literatury i stąd była ta nienasycona jój żądza czytania, pochłaniała książki, szukając co na dnie ich się mieści. Jaka kropelka zdrowego nektaru podana została ludzkości? Ta święta ciekawość, wyższego umysłu i pragnieniem dobra przepelnionego

*) Rozdział z przygotowującej się do druku obszerniejszój pracy.

serca, wiodła ją też na wystawę paryską, a charakterystycznym jest wielec to, co z niej wyniosła, co najbardziej przykuło jój uwagę, co napelniło szczęściem wielkiem. Oto konferencya pedagogiczna! oto model szkółki amerykańskiej! Wogóle z tą swoją pokorną prostotą, której muszę dodać przymiotnik „bezprzykładnej”, uznaje się nieprzygotowaną do zwiedzania wystawy i oceniania zgromadzonych z całego świata okazów—opisuje to w sposób humorystyczny. Tylko ten jeden dział pedagogiczny pochłaniał całą jój uwagę, w jednym, jak powiada, „czuła się na swoim gruncie”, „czuła się uzdolnioną tyle przynajmniej, że się mogła czegoś nauczyć”. To był dział pedagogiczny. Dziś wielu ludzi uważa pedagogią za podstawę bytu moralnego przyszłych pokoleń, za kwestyę pierwszorzędną. Ale wtedy można śmiało powiedzieć, że zajmowano się nią u nas jeszcze mało, i że waga, jaką do niej przywiązywała Żmichowska, była uprzedzeniem epoki. Niestety, życie się tak składało, że nie mogła ona swoich marzeń ziścić w zupełności, nie mogła swoich planów przeprowadzić o tyle, by kurs nauk usystematyzować, lub zakład naukowy dla kobiet stworzyć. Z tego co pozostało po niej, ze słów rozrzuconych w „Wykładzie nauk”, w „Pismach” i korespondencyach, można sobie wyrobić dokładne pojęcie, co chciała, co ukochała, do czego wiodła tych, których ogarnęła swoim wpływem. Ale nigdzie może tak uwidocznionym nie był zapał duszy namiętnie dobra ludzkości pragnącej, działwie poświęconej, jak w tych dwóch listach z Paryża. Mimo swój mniemanój „nieudolności” patrzenia i wyciągania wniosków, rzuca nam Żmichowska całe promienie światła, mając wyjątkowy dar obserwacyi i określeń, do których listy jój pozostaną najpiękniejszym za- bytkiem naszej literatury, pisane tym porywającym stylem, z werwą, dowcipem — te przymioty znane są czytelnikom Gabryeli. Ale korespondencya jój, obok tych przymiotów, odsłania głębię tej wielkiej, pięknej duszy, odsłania tajniki myśli spowiadającej się ukochanym, a także wtajemnicza nas w życie codzienne, tak, że niemal daje sposobność zżycia się po raz drugi z autorką „Poganki”. Dlatego sądzę, że jój wielbiciele chętnie zapoznają się z niedrukowanemi dotychczas dwoma listami, dopełniającemi się wzajemnie, ponieważ z jednej pochodzą epoki, a dla przyszłego biografy każde nowe słowo o niej, wydobyte z zapomnienia, prawdziwie cennym materyałem!

* * *

Dębowa Góra, 11 października 1867 r.

„Wzdragala się czapla niby, dała się nakoniec użyć i zaczęła służyć. Te wiersze Krasickiego w żywy ustęp mojej biografii przeprowadziłam po części. I cóż na to powiesz, Zdzisiu kochany? Jeszcze w połowie sierpnia, o ile mi się zdaje, pisałam do Ciebie, że się na wystawę paryską wcale nie wybięram, bo to za dużo kosztuje, bo mnie starój na nie się to już nie przyda, choćby najpiękniejsze wystawy oglądać, ani ja z tego na dalsze życie nauki, ani dla drugich światła żadnego nie wyciągnę; młodym się godzi zachwycać i uczyć. Tymczasem pojechałam! Nie ja zgrzeszyłam, wuj Erazm zgrzeszył, jak zaczął listy wzywające a tęskne pisywać, jak zaczął opowiadać, że mu się śniłam w jego małym pokoiku tak wyraźnie, iż nie wątpi nawet, że sen był przeczuciem; jak zaczął mnie magnetyzować całą siłą swój woli, tak i przyciągnął nareszcie. Miałam w ręku sto rubli, aż tu przyjeżdżają państwo Feliksowie, braterstwo p. Leona i pokazują bilety tam i z powrotem za 48 rubli kupione, oczywiście tedy, po odtrąceniu kosztów paszportowych, miałabym jeszcze tyle, że mogłabym ze trzy dni... Tu nastąpiły kalkulacye. Pani Julia ¹⁾ najpierw dodała odwagi. Pani Paulina ²⁾ jeszcze skuteczniej poradziła, bo mi się przez męża paszportu wystarała, i wkrótce za nią podążyć mogłam.

„Oddawna w życiu żadne przedsięwzięcie tak składnie mi się nie wiodło w wykonaniu, jak ta podróż cała. Najpierw chodziło mi o siły, wiedziałam, że będzie trzeba jechać duszkiem, bez odpoczynku, od czwartkowego poobiedzia do sobotniego wieczora, i gdyby tylko nie spać, gdyby tylko mieć głowę nabitą szumem lokomotywy, ale prócz tego, w różnych miejscach trzeba z pociągu na pociąg się przesiadać, biegnąć cwałem niekiedy, żeby się nie spóźnić, żeby miejsce znaleźć. Strasznie się bałam tego wszystkiego, bo też trzeba ci wiedzieć, że dopiero zaczynam przychodzić do siebie, po kilkunastu latach zupełnego niedołęstwa; jedno przejście Krakowskiego Przedmieścia, albo jedna wędrówka po trzechpiętrowych schodach, dostatecznymi już były, żeby mnie o zupełną, nie fantazyjną, ale z symptomatami i dowodami, przyprawić chorobę. Czułam się wprawdzie od jakiegoś czasu silniejszą, lecz nie miałam okazji wypróbować się, jak daleko to wzmocnienie posunięte zostało. Podróż mnie przekonała, że bez

¹⁾ Baranowska.

²⁾ Siostrzenica Grodzińska.

mała, radykalnie do dawnego stanu zdrowia wróciłam. Znalazł się jakiś poczciwy towarzysz drogi, wspaniałomyślny młodzieniec, który twojej siwej ciotce pomógł na debarkaderze paryskim rzeczy odebrać i do różkę nająć, za co niech mu Bóg zawsze będzie miłosierny, a Paryżanki okrutne. Zdzisiu, mój drogi! Jeśli kiedy wypadnie Ci ze starą kobietą podróżować, wspomnij sobie na ciotkę twoją, bądź dla niej równie uprzejmym i nie lękaj się z takim samym błogosławieństwem spotkać. Okrucieństwo Paryżanek od wielu niebezpieczeństw mogłoby obronić, zwłaszcza teraz, w czasie wystawy. Normalna stolica Francji, miasto powszednie, schowało się kędyś i nie widać go weale.

„Pominąwszy nowe gmachy i ulice, które jakby na zorany gruncie zburzonej Kartaginy, wznoszą się na placach zburzonego, starożytnego Paryża, pominąwszy wystawę całą nawet, jeszcze prócz tego, starożytnej fizjognomii mieszkańców odnaleźć nie mogłam. W dawniejszych wspomnieniach został ruch, pośpiech, zajęcie, namiętność, — w teraźniejszych: ciżba, tłum i próżniactwo. Gdzie wyszłam, na co spojrzalam, bulwary, teatru, wszystko to robiło mi wrażenie jakiegoś podejrzanego dwuznacznika; wszystkie kobiety wyglądały jak loretki, a wszyscy mężczyźni jak lowelasy *en bonne fortune*. Gdyby nie przypadkowe spotkanie kilku miejscowych indywiduów, którzy mi drogę do naukowej dzielnicy wskazali, to byłabym wróciła do domu z tą winą jedynie, „że w Paryżu piękne sklepy i pulpety z ryżu” (to jest nie z ryżu... bo wszystko z truflami). Ale na moje szczęście widziałam też coś poważniejszego, co się za tą szumiącą fantasmagorią ukrywa. Sama wystawa nie była może dostateczną, by mnie o tym przekonać, lub raczej ja za głupią byłam, by się z nią o czeńkolwiek dokładnie wywiedzieć; ale parę konferencyi sorbońskich, inny gatunek publiczności, inną warstwę kraju przedstawiało. Sorbonna, stara wszechnica, jeszcze Abellardowskie i Dantowskie pamiętające oblicza, w tym czasie wakacyjnym, otwartą została przez ministra oświecenia, pana Duruy¹⁾, arey-zacnego i światłego człowieka, na konferencye dla nauczycieli wszystkich szkółek wstępnych, *écoles primaires*, we Francji. Co dwa tygodnie (czy co tydzień, nie pamiętam), kosztem rządu, po 800 sprowadzają ich do Paryża. Siedmnastu uczonych z łona akademii i wyższego profesoratu, przez ministra wydelegowanych, robi im honory wystawy i stolicy, wozi omnibusami po wszystkich szkołach i muzeach, od Luwru zaczawszy do ogrodu Botanicznego. Zrana dwie godziny są przeznaczone na konferencye o różnych

¹⁾ Zmarłego w listopadzie 1894 r.

metodach pierwotnego nauczania; jedną godzinę w tygodniu oddano kobiécie, zacnéj bardzo i urzãdzeniem ochronek znakomitój, pani Carpentier. Pierwszy to raz z katedry Sorbońskiej, jak Sorbona Sorbona, pozwolono kobiécie przemawiać, bo téz jój dział niezaprzeczonny drobnych dziateczek kształcenie. Pani Carpentier, nie bardzo już mloda, niepiękna, ale taka pełna wdzięku i prostoty, że nietylko moją, ale i całego audytorjum sympatyę, od razu sobie zdobyła. Ach, mój Zdzisławie! Żebyś ty wiedział, jak to audytorjum słuhać umieć! to aż magnetycznie na mówiącego i współsłuchającego oddziaływa. Przeważnie jednak z najzwyczajniejszych bakalarzy złożone. Dowcipny ołówek twego ojca lub Henryka możeby się gotował na sute żniwo karykatur, a tam właśnie, gdzie padnie spojrzenie, same inteligentne, ożywione, spotyka twarze. W 48-ym roku więcej nauczyciele, najzacieśzsj i najliczniejszsj falangi socyalistom dostarczyli; rząd dlatego miał ich w ciągłej nieufności i bardzo skromnym wspierał zasilkim, nawet nie rząd koniecznie, ale izby reakcyjne. Pomimo życzeń cesarza i usiłowań pana Duruy, teraz jeszcze nie chciały więcéj nad dziesięć milionów budżetu szkolnego zatwierdzić. Dziesięć milionów! dla takiej Francji! kiedy postawienie jednego gmachu Opery do czterdziestu kosztować będzie! Nie zraziło to ministra jednakże; doskonale zrozumiał naturę swoich współziomków. *Avoir de l'importance à ses propres yeux*, to jest ludzką potrzebą Francuza; więc téz w ich własnych oczach podniósł znaczenie zajmowanego przez nich stanowiska, bardzo prostym sposobem, bo sam je najpierwjsz szanować zaczął. Znać, że bakalarze czują się nakoniec tém, czém są, zawiązkiem przyszlęgo uspołecznienia, pierwszã godzinã jutra, integralnã częściã Francji, więcéj nawet, czują, że Francya do każdego z nich osobiście należy, że są za nią odpowiedzialni ¹⁾, bardziejj może niż

1) W drukowanych dawniej listach do Eli akcentuje Narcyza także wrazenie, doznane w oddziale pedagogicznym. „Gdyby choć jedno oryginalne spostrzezenie — pisze — gdyby choć jeden sąd ekscentryczny! jeden pomysł nowotny, ale nie, tylko gwar, zamęt i upokarzające poczucie własnej głupoty. Na pociechę, żebyś już wszelkiej o mnie nadziei nie straciła, powiem ci, że trochę, ale jedynie troszeczkę specjalniej oglądałam i ja coś na wystawie powszechniej, a to były modele szkółek, ochronek i żłobków. Prócz tego, dowiedziałam się, że p. Duruy myśli właśnie o założeniu wielkiej szkoły technicznej dla kobiet; chociaż nie jest to znowu tak bardzo pocieszające, bo jeśli p. Duruy myśli dopiero o założeniu we Francji,—to my chyba za sto lat coś założymy, w Polsce.”

A w również drukowanym liście do przyjaciela Henryka czytamy rzecz, której przytoczenie będzie tu właściwem: „Słyszałam, że już po moim wyjeździe pan Duruy utworzył uczelnię, prawie uniwersytet dla kobiet; program nauk,

butne Żuawy, chociaż swoją drogą i Żuawy prześliczne. Kiedy się patrzy na to wojsko, mimowolnie chciałoby się klaskać i wykrzykiwać, jest się wesołym. Gdybyś mnie spytał w ogólności, co mi się najlepiej we Francji podobało, odpowiedziałabym Ci bez wahania, że nauczyciele wiejscy i Żuawi. A na wystawie samęj chcesz wiedzieć? Model szkółki amerykańskiej. W osobnym domku jest pokój osobny, zupełnie tak urządony jak szkoła w niezbyt dawno powstałym mieście Chatteunagero. Mnóstwo praktycznych drobiazgów, map, globusów, okazów różnych; dziecko nie potrzebuje się uczyć na pamięć, jak u nas; potrzebuje tylko mieć tyle dobrej woli, żeby „wiedzieć”. Doskonale są też elementarze do stopniowego czytania. W jednym z nich były wiersze o nas. Jak widzisz, nie silę się na żadne opisy, możesz je znaleźć w gazetach, są niektóre bardzo piękne, ja tylko mojami własnymi wrażeniami dzielę się z tobą. Do tych wrażeń należy zbiór pamiątek egipskich, ustawionych w budynku, który zupełnie na wzór świątyni Aksum urządzone.

„Zewnętrzny portyk, nawet ulica Sfinksowa, nie bardzo mnie zachwyciły; takie rzeczy potrzebują dokoła piasków i pustyni w tym ścisłu innych budynków i krążącej gawiedzi, przypominały trochę jarmarcznią architekturę dekoracyjną. W środku dopiero pamiątki autentyczne, figury kamienne, klejnoty w grobach królewskich poznajdowane, zabytki historyczne, o parę tysięcy lat starsze, niż wszelka dotychczasowa historia. Zimno jakoś człowiekowi się robi, chce czy nie chce, myśleć musi o nieskończonościach, przepaściach za sobą i przed sobą, tajemnicach i mogiłach.

„W sąsiedztwie zaraz jest plan przekopu Suezkiego, przy którym teraz kilku naszych młodych inżynierów pomieszczenie znalazło; zapłata ich nie osobiwa; biorą wprawdzie 400 franków miesięcznie, ale

szczególniej technicznych, szeroki. Ale izby w oburzeniu! Isć, na Włochach karabinów chassepot próbować, i owszem, — kobiety uczyć! kobietom dać zarobek. *Veto!* Biędne emancypantki! ani spodziewają się, co je czeka! Jak tu przyjdzie wysoka arytmetyka, do zgrzyzenia, albo jak je nad prawami mechaniki zasadzą, każą się uczyć wszystkich cyfr chemii! Niejednej się zdawało zapewne, że byle na koń sięść, cygaro zapalić, a choćby w najlepszym razie mieć odwagę na śmierć i nieszczęście, — to emancypacya! Dobre to czasy były, minął wiek złoty...”

Marzeniem oddawna żywioném. „fantasmagoryjką” Narcyzy było założenie szkoły gospodarskiej dla dziewcząt, w którejby kobiety gospodarstwo naukowe, z wszelkimi ulepszeniami postępów, wykładaném było. „Wikt, drób, nabił, ogród, co myślicie? Czy to fraszki? Wielkaby to była pociecha, gdyby można było choć naszkicować prawdziwą, techniczną, dla dziewcząt pensyjkę!”



samo wyżywienie przeszło 300 kosztuje, taka drożyzna okropna, — zysk największy w dalszej wziętości. Być inżynierem przy kanale Suezkim starczy za tytuł i rangę; wybierają uczniów, którzy najchlubniej szkoły centralne i techniczne pokończyli. Plan zrobiony *en relief* jest wielkości sporój izby; obozowisko robotników, domy przedsiębiorców, maszyny do kopania i spławu, wszystko jak zabawki dla dzieci wykonane, w przydadku jeszcze panorama obraz uzupełnia. Wyszędłszy z Suezu, o parę kroków możesz wstąpić do pawilonu wicekróla Egiptu, który jest także portretem jakiegoś rzeczywistego kiosku. Skusiły mnie wspomnienia „Tysiąc nocy i jedna”. Żalowałam potem, bo na wystawie żałuje się każdej zmarnowanej minuty, a kiosk mnie bardzo zawiódł! Ściany tylko tureckie, inne meble, nie wyłączając fontanny wśród kwiatów bijącej, znajdzie się po wielu salonach paryskich. Gdyby rozpuścić kłęby dymu prawdziwego Latakiał! może łatwiejby przyszło we wschodnie powieści uwierzyć. Ale tak bez tytoniu!... Co zaś do tytoniu, powiem ci, że mnie kusił bardzo widok ogromnej piramidy w hiszpańskim domu, z samych hawańskich cygar ułożonej, we Francyi szkaradnie drogie i niesmaczne cygara! Lecz to podobno wcale Cię nie rozczuli, bo nie jesteś ich zwolennikiem.

„Ciekawe rzeczy mogłabym Ci o galeryach obrazów powiedzieć, ale za długie historye, — o rzeźbie, o Napoleonie umiერającym, który tak patrzy w dal, tak myśli o tēm, co będzie we Francyi... Raz, choć dni były mi policzone, zamiast na wystawę poszłam sobie do starego Luwru pokłonić się Rafaelom i Tycyanom, Murillom i Ruysdallom, Grekom i Rzymianom, nie pomijając Muzeum starożytności, które się z bogactwem mnóstwem zabytków z odkopanėj Niniwy. Myśmy zawsze o jednym Sardanapalu słyszeli, a tam jest ogromna płaskorzeźba Sardanapala V-go i III-go, i niewiedziēc jakich tam królów jeszcze; całe ściany pałaców poprzewożono i dowiadują się mnóstwo o dawném życiu szeregółów. Ja się nie wiele dowiedziałam, bo mnie nikt nie objaśniał, ale i to miło wspomnieć, że patrzyłam. Z nowoczesnego życia, prócz wystawy, tłumów zalegających bulwary i kilku aż do znudzenia wyzłoconych restauracyi, widziałam jeszcze niektóre teatra. W najpowaźniejszym ze wszystkich teatrze francuskim dawano Hernaniego, Wiktora Hugo. Czy znasz ten dramat? Lepiej mi się w czytaniu, niż na scenie, podobał, bo tēz jest dla pięknych wierszy, bez względu na aktorów pisany. Francuzi nie umieją poważnego tonu zachować pod przyzwoitą miarą; raz po raz w przesadę wpadają, a może i mnie brakuje zmysłu do ocenienia piękności ich skandowanėj deklamacyi. Przyznam się, że daleko więcej czułam się teraz wśród nich

cudzoziemską, niż podczas pierwszej mojej bytności. Nic dziwnego, smutnym szczęśliwi podwójnie są obeymi.

„Dwa razy byłam w Gymnase. Komedyjki dość mierne; *La cravate blanche*, *La vertu de ma femme*, dramacik nowy *Albertine de Meris*, w przeciwieństwie „Ideom” pani Aubray napisany (tłómaczone były te „Idee” w „Gazecie Polskiej”), parę innych drobnostek wybornie odegranych. Kobiétom trochę na przeszkodzie ich zalotność staje, nie mogą ubrać się stosownie do roli, tak potrzebują do twarzy być ubrane. Mężczyzni za to niezrównani! Zamknij oczy, słuchaj głosu, nie poznasz nigdy, że to głos ze sceny; a gdyby usunąć lampy i dekoracye, nie poznałbyś tak po ruchach, że to grą, sztuką.

„W Palais Royal, bez sensu komedyjki, po mistrzowsku, wybornie oddane. Jedna, *La Mariée de Mardi gras* dlatego, jak się zdaje, była przedstawioną, żeby europejskich gości pocieszyć, iż we Francyi nawet policya z aresztowanymi grzecznie bardzo się nie obchodzi; odplątana intryga rozwiązuje się albowiem odprowadzeniem z różnych stron, całego wesela do kozy, gdzie surowy kapral z patrolem dla pań i panów równie szorstkie ma obejście.

„Co do śpiewu, mogę się pochwalić, że słyszałam najwznieśliwszy i najpodlejszy. Sławną Adelinę Patti, która musi mieć chyba inny organizm krtani, słowik rzeczywisty nie przetrzyma jój tehnienia w ruladach i trylach, a pewnie na nim więcej wysilenia znać. Mimo że prawie klaskać nie wolno, przykłaśnięto przecież parę razy „w Cyryliku Sewilskim”. (Patti jest przytém wyborną aktorką, śliczną dziewczyną, poczciwą kobietą i szlachetną ludzką istotą, mówi gdzieindziej Gabryella).

„Kawiarnie śpiewające *Café chantant*, z tych „Alkazar” poznałam, i znowu muszę oddać sprawiedliwość werwie męskich komików, którzy śpiewaną lada piosneczkę, jak gdyby żywcem na komiczne obrazy rozłożyli. O damach, po większej części, mówić nie można. Rygorystką zbyteczną nie jestem, wiele mam uznania dla artystycznych i politycznych licencyi, chodzę z czystém sumieniem i bez rumieńców na czole, wśród Tycyanowskich obrazów, wśród nagich, greckich posągów, ale tam jest piękno „ciała” ludzkiego, w Alkazarze jest po prostu „mięso” kobiécie, w bardzo oświeconych gazem i ozdobionych aksamitami jatkach. Mogłam trochę porównać gust niemiecki z francuskim, bo w powrocie byłam także na berlińskiej operze i w ogródkowym teatryku. Opera nie ustępuje pod względem artystów, nie ma „osobliwej” Patti, ale ma znakomitą Lukkę i Neumann, a ogródkowe koncepta, chociaż w groteski przechodzą, ogół-

nie jednak skromniej wyglądają, nawet w bardzo krótkich spodnieczkach.

„Dziwi Cię to zapewne, jakim sposobem moje sto rubli na zwiedzenie teatrów, kilkunastodniowy pobyt w Paryżu, ba, nawet tygodniowy w Rheims, wystarczyło? Oto dlatego, że, jak Ci wspominałam, wszystkie okoliczności dobrze się złożyły. Zastałam tam w miejscu bardzo dobrą i kochaną znajomą z Warszawy, nie chciała mnie puścić od siebie, wozila wszędzie, a nakoniec, sprzedawszy mój bilet spacerowy, tak rzeczy urządziła, że mogłyśmy razem wygodniej i mniej śpiesznie do kraju wracać. Drugostronnie Pelcia, przyjechawszy wraz z mężem swoim i stryjem, sprowadziła kochanego wujaszka. Wujaszek, częściej odemnie bywał na wystawie, bo też jest niezmordowany piechur, codziennie do miłowych przyzwyczajony spacerów; choć taki jest mu koniecznym potrzebny, od drugiego ataku paralitycznego, gimnastyką jedynie, chodzeniem, aloesem i winogronami się broni, równieższy przez to bieg krwi utrzymując. Na chleb zarabia buchalterką kupiecką. Teraz ma bardzo skromny, lecz przynajmniej wystarczający zarobek. Nie zawsze jednak tak bywa. Kiedy się w handlu przesielenie jakie objawi, kiedy różne domy bankrutować lub zamykać się poczną, to i chleba nie ma. Raz, przez rok blisko, bez żadnego utrzymania, z niedostatkiem się łamał i nigdy, nigdy, jutra nie jest pewnym... a jednak ciężko i poczciwie pracował. Szanuje go miasto całe, tylko, jak sam mówi, *pas de chance* i coś jeszcze, czego sam o sobie nie mówi, z czem się nie chwali, co mu kiedyś chyba Bóg sprawiedliwy w rachunku wypłaci.”

*

*

*

Pisząc te słowa, nie przeczuwała kochająca aż do ubóstwiania siostra, że w rok niespełna, w lipcu 1868 roku, straci najdroższego brata. Gdy jednak do wrażeń z wystawy paryskiej domieszało się imię najzacniejszego człowieka, dobrze nam znanego z listów „Erazma”, zdaje mi się, że tu właśnie miejsce będzie odpowiednie do przytoczenia ustępu listu, pisanego do tegoż samego siostrzeńca, po powrocie z Paryża. Ten pobyt zaznaczył się żalobnymi wspomnieniami, tém więcej, że, śpiesząc na wezwanie, nie zdążyła do Rheims, przed śmiercią brata. Boleść jej więc była podwójną z tego powodu. Sił mu zabrakło na doczekanie się Narcyzy. A ona jechała z pieniędzmi na sprowadzenie go do Galicyi, gdzie mu umieszczenie przyrzekano... Przybyła w dwie godziny po pogrzebie.

„Jednak nie żałuję, że była na miejscu — pisze Narcyza. — Przez jakiś czas zdawało mi się, że dla niego coś robię, o niego się staram, nim wyłącznie zajęta jestem. Pozbiierałam drobne pamiątki, wszystkie listy; byłam przy przeniesieniu zwłok do zakupionego *à perpetuité* grobu, a nadewszystko widziałam dowody szczerzej życzliwości, ogólnego szacunku, którym aż do grobu był otoczonym. Dziwna rzecz, w takim przemysłowem, zacofanem mieście, on ubożuchny, cichy, najskromniejsze buchaltera zajmujący stanowisko, wyrobił sobie niby jakiejś znakomitości uznanie. Bo też i prawda, że był znakomitością wytrwania, poceziwości, niezłomnej woli i szlachetnego charakteru. Pelno jest ludzi, co wyższemi zdolnościami umysłu błyszczeni, ale równych jemu, miłością serdeczną dla ludzi i żelaznym nieustępstwem w zasadach, tak rzadko się spotyka, że istotnie, z matkami mówiliśmy o tém, gdyby przyszło dorastającym dzieciom, na żywym przykładzie wskazać, jakim to człowiek sumienny, człowiek żyjący dla przekonania swoich być powinien, toby trudność była ogromna. Coraz mniej takich z kamienia ciosanych osobistości. Są niby poceziwi, rzewliwi, dobrego serca, i mówi się nie o jednym: jaki zacny! jaki poceziwy! bo się go z masą gorszych w porównaniu stawia, a dzieci rosną w takich pojęciach i nabierają takich przywyknień umysłowych, że im później zaeność i poceziwość ciągle tą ciasną miarką się rozmiarza. Ot, i ty, mój drogi, wuja Erazma nie znałeś, i tobie trudno będzie zdać sobie sprawę z jego natury; w naszej rodzinie nikogo nie znam, coby mógł do podobieństwa stanać. My wszyscy, choćbyś wziął najlepszych, to jeszcze siedmdziesiąt siedm razy codziennie na niekonsekwentności pochwyć nas można, to w obejściu z biedniejszymi i ciemniejszymi ludźmi, to w sarkazmie, to w wykrzykniku boleści; — jego nigdy, jak go znałam po braterstwie ducha i rozumu od dwudziestego roku mego życia, tak przez całe późniejsze lat trzydzieści nie dostrzegłam w nim ani jednego egoistycznego wrażenia, ani przez nieuwagę popełnionego względem kogobądź uchybienia, ani sarknięcia, ani skargi, nigdy nie słyszałam i nikt z ust jego nie słyszał. Francuzi, co go tylko powierzchownie znali, pewni byli nawet, że to człowiek z bardzo wesołym usposobieniem, a on miał takie ciężkie życie, takie do śmierci zatęsknione serce.

„Na pociechę moją, wszyscy mi zaręczali, że w ostatniej chorobie z wielką troskliwością był pielęgnowany. Miał też przy sobie lekarską pomoc dwóch ziomeków, jeden miejscowy młody uczeń medycyny, który jak dziecko płakał, gdy mi o nim różne szczegóły opowiadał. „On mi był ojcem i bratem” — mówił do mnie ze łzami, a on też jak ojciec i brat czuwał nad umierającym, dniem i nocą był przy nim.

„Drugi doktor mieszkał w sąsiedztwie o dwie stacye. Zdaje się pisałam Ci już o nim, jestto mój przybrany synowiec, od bardzo dawnego czasu. Jeszcze kiedy w Lublinie mieszkałam, przyjechał raz umyślnie, żeby się zaznajomić ze mną, i później ciągle już wypadki naszych biografii, jedne o drugie zachaczały. Żebyś i o nim kiedy wdzięczną myślą wspomniał sobie, to ci powiem, że się Dobrowolski nazywa, z Taraszczańskiego powiatu. Możesz sobie, a kto wie, czy raczej „nie możesz” sobie wyobrazić, jak poczeiwie zajął się mną w tych ciężkich chwilach. Przyspieszył podróż, aby mnie do granicy odprowadzić. Jechaliśmy trochę dłuższą drogą na Drezno i Kraków. Oba miasta smutno wyglądają, a niegdyś sławne taniością towarów, dziś większą, niż Warszawa, drożyzną pochlubić się mogą. W Krakowie chociaż dla odpoczynku trzy dni się zatrzymałam, nie widziałam nikogo.

„Nakoniec, po trzech tygodniach smutnej drogi mojej wróciłam do Pszezonowa.”

*

*

*

List do siostrzeńca datowany był d. 11 października, ten, który ja odebrać miałam szczęście, o dwa dni wcześniej był pisany. W nadzwyczajnej dobroci swojej, Gabryela przypisywała mi wpływ, którego naturalnie mieć nie mogłam... Pełna uwielbienia dla genialnego talentu i przejęta najgorętszym uczuciem do mistrzyni mojej, pragnęłam oczywiście, by pisała jaknajwięcej,—czując, że milczenie jój stratą dla literatury, dla społeczeństwa, wiedząc, jak wiele ma do powiedzenia! Niejednokrotnie tłómaczyła się w listach swoich, czemu pisać nie może i gniewała się niby, że ją prośbami memi i wymagalnościami do życia budzę, a jednak najserdeczniejsze słowa dostały mi się w udziale z tego właśnie powodu. Przytaczam je z zastrzeżeniem, zresztą zapewne zbytecznym tak samo się rzuca do oczu, że pisała list ten poetka, której fantazyja obrazowała i potęgowała fakta najskromniejsze przez pryzmat najlepszego serca.

Gdybym nie była o tém przekonaną tak silnie, jak i czytelnicy niniejszych listów, nie mogłabym ich przytaczać, a przecież idzie o rzecz główną, o autentyczność dokumentu. List datowany z Dębów Góry, w Rawskim, gdzie bardzo kochanej siostrzenicy dopomagała w wychowaniu dzieci, brzmi niemal dosłownie:

*

*

*

„Nie wiem, czy cię ten list zastanie w domu, Wando moja jedyna, ale wiem przynajmniej, że długo czekać na ciebie nie będzie. Witaj mi, dziecko moje, siostrzyczko moja, entuzjazmie mój ostatni, przymówko moja bezwiedna, upokarzająca! witaj mi, ty wszystka i rozmaita, a koniecznie witaj zdrową i silniejszą. Czas szkaradny wypadł na twoją podróż, skosztowałam go troszeczkę tylko i wiem, jak może chorym smakować! Mnie wprawdzie, zahartowanej już makrobiotycznie, na sto kilkudziesięcioletnie życie skazanej, nie dał się weale we znaki, przypomniał nawet miłe chwile dawnych rycerskich wędrówek moich, a zresztą, użyłam go, co się zowie, od Skierniewic tylko do Dębowej Góry. Zajechałam na miejsce (do Paryża) bez wypadku, mogłam dłużej nawet, niż mi się to podobnym zdawało, z bratem zostać; widziałam go tak rzeźkim w duchu i woli, że nie każdy potrafi rozpoznać, jak ciałem zwolna upada i odchodzi. Spotkałam się z kilkoma życzliwymi znajomymi, z najżyczliwszym i najserdeczniejszym ze wszystkich Marcelim. Pani Matylda ¹⁾, co tak umie dogodzić, otoczyła mnie staraniem i radością swoją, wszelkie praktyczne chropowatości zagranicznego pobytu wyłożyła wata, fiolkami, kobiercami. Słowem, wśród bieżących okoliczności pod datą XIX-go wieku i według chronologii mego życia, lepiej mi być nie mogło; dlatego też co chwila spodziewam się, że jaki nowy kamień aerolit o głowę mi się rozbije. Przyznaj, Wando, że się w porę wybrałam z liryką moich złych przeczuć na powitanie, a jeszcze kogo? Ciebie. Ciebie *pinnozo skabiozo*. Więć, żeby na co innego myśli zwrócić, powiem ci, że mi się śniłaś pierwszej nocy po przyjeździe moim do Paryża i pierwszej nocy, którą w pokoiku Erazma przespałam; bo trzeba Ci wiedzieć, że, jako czuła siostra, wypędziłam brata z jego stancyi, musiał po hotelach się tulać. Jaki był sen? To najdziwniejsze, że nawet w pierwszej chwili przebudzenia przypomnieć sobie nie mogłam, wiedziałam tylko, że nim otworzyłam oczy, byłaś ze mną i zaraz też, gdy sposobność do pisania się znalazła, krótką karteczkę napisałam do Ciebie, tyle tylko, byś miała dowód, że Cię wszędzie a w Reims szczególnie, miałam ze sobą.

„Wyobrażam sobie, że daleko ciekawszą jesteś moich podróżnych wrażeń. Nędzna ze mnie turystka. Nie godzi się tej nędzy, na samo fizyczne niedołęstwo składać, bo chociaż bywałam niekiedy okropnie schodzoną, to jednak chodziłam tyle, że nigdy się czegoś podobnego nie spodziewałam po sobie. Sześć i siedm godzin, dzień za dniem na nogach, z zadartą głową, z wytężonemi oczyma, to się rachuje, a przy-

1) Godebska.

tém, na odpoczynek wizyty lub teatr, do północy trwający. Sił i zdrowia starczyło mi na to wszystko, czułam, że wkrótce, jak Ida Pfeifer, będę mogła pieszą podróż dokoła ziemi rozpocząć, ale cóż z tego, kiedy mi brak w głowie zapasów!

„Nie posądzałam się nigdy o zarozumiałość, a jednak pokazuję się, moja Wando, że byłam ogromnie zarozumiała. Zdawało mi się, że u mnie daleko więcej, niż istotnie przy pierwszym egzaminie rzeczywistości, gotowego na zastosowanie znalazłam. Gdzie spojrzę, to się przekonywam, że patrzę bezużytecznie, dla zabawki, jak dziecko; a przyswoić sobie, zdobyć na wiedzę, nauczyć się czegośkolwiek z widzianych rzeczy? — utopia! Obrazy? Nie znam się na malarstwie, sądzę, jak koza o trawach, smakuje lub nie smakuje, podoba lub nie podoba. Machiny? Widzę świat jakiś nowy, nowe jakieś potęgi, ale tak samo pewnie pierwszy dudek po stworzeniu swoim patrzył na rozciągające się przed nim przestrzenie. Zboża? Płody? *Connais pas*. Geologiczne okazy? Łomy skał, plany kopalni? Iksy. Modele okrętów? Iksy, — choćby i proste koczki lub karety... Wszakże mi się zdarzyło koczami lub karetami jeździć, powinnabym znać. Ej, gdzieś tam! Zabij mnie i uduś, to ci jednak nie powiem, czemu ten powóz a nie tamten został medalem zaszczycony; czemu ten od tamtego ma być lepszy. Nie znam się na niczym, ale to, co się zowie, na niczym. Gdyby mi kazano sądzić, oceniać, klasyfikować, nie dałabym sobie rady z najprostszymi, najprzystępniejszymi przedmiotami, ani tkanin jedwabnych, ani szalów, ani koronek, ani kwiatów, biorę przeciw zupełnie kobiece przedmioty, ani, słowem, żadnej rzeczy, która kobieceą i ludzką jest, nie wyuczyłam się dokładnie. Darłam się do egipskich pamiątek. — Cóż mi z tego przyszło? (Wiadomo, że Egipt ciągnął duszę Narezy nieprzeparcie... Zawsze marzyła o podróży do Egiptu. Świątynię egipską chciała obejrzyć, choćby jeden tylko dzień na wystawie spędzić miała).

„Kiedy projekta, co rzadko bywa, świetniej od programu zaczęły się wykonywać — pisze na inném miejscu Nareyssa — dopiero w czasie trzecich odwiedzin, zamiar mój przywiodłam do skutku i świątynię Aksum, w jęj najwierniejszém, jak mówią, podobieństwie, zwiedziłam — mały zawód artystyczny, świątynia egipska, rozumiecie, egipska! tajemnicza, przedwiekowa, — malowana z wierzchu popielatoniebiesko i zielono; w środku jasna, — ale bogi autentyczne i faraony niefalszywe, tak uroczyste milczą, że aż ludziom mówią: bądźcie cicho! Wszelako ja nie po tę niegrzeczność darłam się do ich oblicza; chciałam koniecznie nauczyć się czego i były materiały pod ręką, zbiór wszystkich życia resztek, od bóstw do zabawek dziecinnych,

a czasu nie było! Więcej użyłam egipskich przyjemności w Muzeum berlińskim, kto wie, czybym już mumii zabalsamować i spowić nie potrafiła?

„Najdłużej między nimi siedziałam na wystawie, snułam się wśród nich po Luwru salach, jak podziemia, sklepionych, po muzeach berlińskich; i cóż mi z tego przyszło? Wrażenie! No, tak, były przełotne chwile wrażenia; czułam się o tysiące lat w przeszłość rzuconą, żyłam z tymi ludźmi, rozmawiałam z temi mumiami; widziałam znajomych, pozdrawiałam siedzące z symetrycznie spuszczone nogami i rękoma postaci, ale to wszystko dobre byłoby dla siedemnastoletniej marzycielki. „Idzie Pfeifer” należałoby się rozumieć, ogólnie przynajmniej, znaczenie różnych godła i symbolów, rozróżnić króla od podskarbiego, królowę od krowy, a psa od kapłana; amuletkę religijną od cacka dziecinnego. Lecz „Ida Pfeifer” nie umie, patrzy tylko, że jej ledwie oczy z głowy nie uciekną — czy miałaś kiedy takie uczucie, by ci za spojrzeniem całe oko z głębi mózgu się ciągnęło? — Ida patrzy i obiecuje sobie, że spamięta, że potem z czytaną książką porówna, a tymczasem, gdy książkę weźmie do ręki, znów, jako pierwiej niczego zastosować nie umie. Biedna, głupia Ida! Znalazłam dowcipny sposób nazywania się niemiecką znakomitością, wszak prawda, Wanda?”

„Jeden tylko oddział wystawy mógł mi coś mniej obcego do zbadania przedstawić, w jednym tylko czułam się na swoim gruncie, uzdolnioną o tyle przynajmniej, że się mogłam czegoś nauczyć. Były to szemata szkółek wstępnych, ze wszystkimi przyborami. W małych pokoikach ławki, szkoły, tablice, książki, mapy, napisy; wszystko tak, jak bywa na miejscu.

„Zwiedziłam szkołkę amerykańską, szwedzką, pruską i saską. Zazdrość mnie wzięła! Nie było czasu we wszystkiem się rozpatrzyć, a jednak z pierwszego rzutu oka, co nabytków dałoby się przyswoić, co konceptów żywcem zastosować! Nie ma gdzie!

„Byłam na dwóch pedagogicznych w Sorbonie konferencyach; po raz pierwszy katedra tej starożytnej wszechnicy dla kobiety otwartą została. Pani Pape-Carpentier mówiła o sposobie uprzyjemnienia nauki małym dzieciom. Słuchano jej z wielką sympatją; była cierpiąca, i głos jej tak był cichy, że ledwo nablížej siedzący wiedzieli, o co rzecz idzie; ale tłum wiedział, jakie było jej życie, jaka przeszłość, uczciwój, skutecznej pracy poświęcona, więc na wiarę z uszanowaniem każdemu serdeczniejszemu ustępowi przyklaskiwał, w konferencyi bowiem serdeczność głównie przemagała. Wdzięk przytém i prostota niezrównana! Gdybym była dzieckiem, to jestem pewną, że nie słowo

jój nawet, nie rada najtrafniejsza, nie zachęta żadna, ale sam uśmiech jój, ciągnąłby mnie, jak magnes opilkę żelazną; takiego dobrego uśmiechu, nie widziałam oddawna, od czasu, jak twarz najlepsza, do małych dzieci, uśmiechać się przestała. (Prawdopodobnie miała na myśli panią Wileczyńską). Gdyby mógł Paryż mnie zbałamucić, to by mnie zbałamucił temi konferencyami swojemi, prelekcyami, odczytami, kursami naukowemi; ale niewiele właśnie zakosztować ich mogłam, trzeba było „ogłądać”. Więc mnie nęcił przepychem, zabawą, deklamacyą i śpiewem, wodewilem i operą, a ja podziwiałam i smuciłam się, że rozszalać się nie mogę!

„Ciekawa jestem, jaki sens moralny wyciągniesz z tego wszystkiego, co ci na pierwszy raz, w urywanych zdaniach, przeskokowo, o podróży mojej wspomniałam? Czy znajdziesz przynajmniej odpowiedź na to, co ci pilniej o mnie wiedzieć było trzeba? Jeśli nie, więc właśnie twoja rzecz, Wando, pytaniami do porządku je przywołać, ja Ci zawsze odpowiem, kiedykolwiek i o cokolwiek mnie zapytasz, *my darling!* Ale ty pytać nie umiesz, szczególnie, gdy razem jesteśmy, żywem słowem. Pani Anna ma słuszność, gdy ci wyrzuca, że twoje listy od twojej rozmowy pełniejsze. Potrochu znam się na tej chorobliwości, tylko w tobie jest więcej niż we mnie rozwinięta. Cierpię na nią póty, póki wszelkich zarodków nieufności względem drugich nie zabiję. Niechno tylko będę kogo pewną, to pewnie więcej mu powiem, niż napiszę; ale jak mam wątpliwość na sercu, a przyjaźń w sercu, to więcej napiszę, niż powiem. Ty zaś do nieufności względem drugich, łączysz względem siebie samej nieufność; przesładuje Cię wiecznie to Twoje tehorzostwo moralne, ten stosunek potworny między myślą suchwą, a ruchem niewprawnym. Czy ja Cię kiedy z tego otrząsnę? Usiłowań nie szczędzę, przestróg w bawelnę nie owijam, Ty mi za to wszystko odwzajemniasz, ciągle mnie do autorstwa zapędzając. Ach, Wando! nie ustawaj w tém bezowocném wołaniu — może się na co przyda, a jest właśnie bardzo potrzebne; jedyny sposób, którym mogłabym trochę pieniędzy zarobić, trochę? ba! ja nawet dużo bym chciała. (Ma na myśli niezawodnie wspomnienie brata, zapracowanego w Reims). Wołając więc na mnie, znajdź sposób, żeby o jeden stopień wyżej rozwinąć moje przeszłoroczne usposobienie, żeby przypomnieć, co mi się przeszłego roku w głowie układało. Wszakże Daniel umiał Nabuchodonozorowi zapomniany sen przypomnieć! Nie jestem wprawdzie Nabuchodonozorem, ale ty niezawodnie jesteś Danielem moim. Więc rób, co chcesz, znajdź jakieś ożywienie, jakąś podniętę, jakiś specyfik na odtajnienie mózgu, bo chcę pisać...

„Bardzo się cieszę, że Ci się Tytana (Jean Paula) spotkać udało. Nie a nie go sobie nie przypominam, lecz onego czasu, powiem Ci to kiedyś, jak się zobaczymy, dlaczego po jego przeczytaniu zaczęłam pisać: „Podróż kobiety”, która się potem na czterokarteczkowe ustępy rozwiała. Już to mnie zawsze na pisanie szło, kiedy coś z wrażenia przeczytałam (jakiego bądź gatunku, byle wrażenia), „Pogankę” po Tuceydesie; „Podróż kobiety” po Tytanie, „Mainę” po „Prawdzie ruckiej” Rakowieckiego i t. p. Czy ja mogę mieć jeszcze jakie wrażenie. Żegnaj, moja.”

* * *

Trzecim listem, jaki z października (10-go) mam pod ręką, jest pisany do bardzo drogiego, także jak Marceli Dobrowolski, „adoptowanego” siostrzeńca, Edwarda Kąplińskiego. Z wrażeń pobytu na wystawie zaznaczamy spotkanie z Bohdanem Zaleskim, który okazał przy powitaniu „takie ukraińskie rozserdecznienie, a do tego z mojej strony” — pisze Narcyza — „dawno już, bardzo dawno uwzięłam się, żeby go kochać — za Rusałki, Majumę i za wszystkie chwile, które mu dłużna byłam z przeszłości ¹⁾. Istotnie, prawa to dusza i szczerozłote serce. Gdy o znajomościach wspomina, domyślcie się pewnie, że Marcelego do nich nie liczę, bo téż on nie zdobędzie się na emigranczką naturalizację. Przy całym turyzmie swoim, zawsze będzie miał te same przywyknienia, sądy, tęsknoty i nadzieje, jak gdyby wczoraj dom opuścił, jak gdyby jutro miał do niego wrócić, a jednak tolerant, bo z nietowianistami w bardzo przyjaznych żyć może stosunkach, i dla mnie nie a nie się nie zmienił, a mego brata, starego demokratę, wy nawet nie pojmujecie co to jest stary demokratą, ani sami

¹⁾ W dawniej drukowanych listach, do Eli mianowicie, czytamy o tém spotkaniu: „Byłam tylko z odwiedzinami u Bohdana Zaleskiego, gdyż to zupełnie nowa była do zrobienia znajomość, bez żadnych długów i zaległości, owszem charakter wierzyciela noszącej raczej, — bo ileż dźwięcznych chwil, ile śpiewnych marzeń, ile muzyk młodocianych, winna byłam Bohdanowi. W przydatku, ożenił się z moją współinstytutką (Zofią Rosengart), mam prawo powiedzieć, uczenicą nawet, bo w niższej była klasie i dawałam jój lekye; kilka razy sam dobrém słowem mnie zaczepił, dobrém życzeniem pozdrowić kazał, — posłałam go tedy odwiedzić Bohdan przesłiczny, daleko młodszy, niż wszystkie jego portrety, czy ma takie szafirowe, jak wstążka przy kapeluszu mojej siostrzenicy, szkoda, że ci nie mogę pokazać. Już bo to wszyscy Ukraińcy, nie wiem, jak wyglądają kiedy są w złym humorze, pewnie tam w każdym Zaporozec siedzi, — lecz kiedy w dobrym, to tacy serdeczni, miękkim, rzewnym, tkliwym jak pieszczota rozserdecznieniem, że aż serce lgnie.”

nie będziecie żadnym starym czymściś, ani koło siebie starych jakichś nie zobaczycie. To już przepadający gatunek, tacy ludzie, którzy od młodości do lat najpóźniejszych byli jednym i tym samym jezuitą czy wolterzystą, demokratą czy mistykiem, Marrinim, Garibaldim czy Meternichem. Inna warstwa, inne zdolności i usposobienia, płynność większa, kształtowanie się ciągłejsze, a w ukształtowaniu deficyt.

„Otóż mój skamieniały w demokratyzmie braciszek dał się zupełnie Marcelemu towianisić przekupić. Przy zachowaniu pewnych ostrożności, unikaniu dysput i t. p. kochają się bardzo.”—Widocznie jednak, o towianizmie nie było między nimi mowy, skoro dla porozumienia się z Dobrowolskim w tej mierze musiała Narcyza czekać na wyjście brata z domu, jak to w liście do Julii opisuje (5 października 1867 r.): „Bo chociaż to nie sekret żaden dla mego brata, i chociaż brat sam przyznaje, że poczciwe serce i prawa intencya z każdej formy religijnej coś pomocnego a nieszkodliwego wyciągnie, jednakże, gdy idzie o przeprowadzenie towianizmu „w dysputę”, nie ufam jego Żmichowskowskiej naturze, uniesienia zaś lękać się po prostu jak choroby w jego zagrożonym stanie.” „I was także Marceli zawsze kocha, wspomina, i mnie także, ale to mniej dziwne, bo pominałszy większą ilość punktów stycznych, to jeszcze kto wie, czy go nadzieja nawrócenia nie nęci; choć swoją drogą wiem, że i bez nawrócenia, nie wyrzeczę mnie się...”

Tyle o ludziach, naówczas widzianych. Istotnie jest faktem, że towianięzcy o nawróceniu Gabryeli myśleli bardzo na seryo, ale się oparła bez wahania, znajdując wszystko, co oni narzucić chcieli w Ewangelii. By ją ukochać, by święte jej przepisy w życie wprowadzić i wcielić, na to nie potrzeba było sekty tworzyć. Niemniej pociągali ją ludzie dobrej woli, prości, żyjący jakby w zakonie miłości i pragnący, by Królestwo Boże zstąpiło na ziemię; jakakolwiek była ich teoria, życie było piękne i czyste; takich „Towianistów” znała Narcyza, więc ich ceniła jako ludzi z charakterem. A w liście do Julii, pisanym w tej samej epoce, zahacza o sprawę towianizmu, w sposób bardzo kategoryczny, gdy pisze: „Jeśli już wierzyć w objawienie i Mesyaszów, to mi dość w Chrystusa, który przynosi z sobą siły dodatnie, nowe, bogaci naturę ludzką nieznanemi dotąd władzami — jest łaską, jest ofiarą uzupełniającą wszystkie ujemności grzeszników i t. p. i t. p.”

Cheąc zakończyć seryę listów pisanych z Paryża, a raczej o Paryżu, raz jeszcze zwrócić się musimy do drukowanego dawniej listu

do Henryka, w którym mieszczą się wrażenia Narcyzy z wystawy, mianowicie téż z działu sztuk pięknych, zaczawszy od „Rejtana” Matejki, który w ten sposób charakterystycznie opisuje: „Spojrzałam i chciałam odejść, nie rozumiem! Coś różowo metalicznego w kolorycie. Spojrzałam drugi raz, aż tu ciekawość bierze, twarze się ozywają, postaci występują z płótna, trzeba zostać i patrzeć długo, długo, i śmiać się i cierpieć, i być znowu do cierpienia gotową. — Od galerii obrazów przegląd wystawy zaczęłam, dzieciom i profanom obrazki najprzystępniejsze. W części hiszpańskiej Testament Izabelli tak mnie prawie przytrzymał, jak Matejko. Głębokie uszanowanie złożyłam Napoleonowi I-mu z marmuru, przez Viola Włocha przyslanemu. Czytaliście o nim w gazetach, wiecie, że siedzi na krześle, wsparty poduszką, odziany rozchełstany na piersiach szlafrokiem i od pół ciała przyrzucony flanelową kołdrą; realizm, jakiego może nikt sobie dotychczas na kararyjskim marmurze, nie pozwolił. I przed tym realizmem widziałam kilka świeżych wieńców nieśmiertelnikowych, tłum ludu—i tak mi się zrobiło boleśnie smutno, że byłabym resztę wystawy poświęciła za chwilkę samotności z tą konającą postacią. Jakiż-bo to niespożyty rozum w téj głowie, jaka myśl, silniejsza od śmierci, na czole; jaki spokój wyższy od cierpienia w tém zamyśleniu,—tak muszą wiele ludzie umierać, tak geniusze, choć zapoznane. — Daleko Wam dzisiaj do Paryża, aleć wielu innym tak samo było, a taki przecież Paryż kiedyś widzieli, może i wy zobaczycie — po latach, po latach, choćbyście w moim wieku byli, pójdziecie spojrzeć na ten posąg, który naród kupił—i wspomnicie sobie.”

A podsumowując wszystkie swoje wrażenia, przychodzi jednak Narcyza do tego wniosku, że choć to żaden dobry uczynek wystawę zwiedzić, ale dla młodych, dla tych co potrzebują wrażeń, bo mogą dalej w zastosowaniu je rozsnuwać, uczynek bardzo korzystny. Lepiej obejść się bez jedwabnej sukni, zjeść jedną potrawę mniej na obiad, a podarować sobie piękne wrażenie. „Mnie już na nie wrażenia się nie zdadzą”, pisze do Henryka, „bo nie lepszego z nich nie zrobię, niczém lepszém nie splączę zaciągniętego przez nie długu.”

„Choćbym widziała najpiękniejsze obrazy — żadnej piękności sama nawet piórem nie odmaluję. Choćbym widziała wszystkie cuda maszyn parowych, nietylko żadnej nie zbuduję, ale nawet żadnej w dobrach moich nie każę ustawić. Choćbym z widoku tyłu zdumiewających pracy ludzkiej okazów największe poszanowanie dla rodu ludzkiego poczuła, i największą potrzebę rozumnego kształcenia uznała — co komu przyjdzie z tych pięknych i zaenych sentymentów?

„Nie wrażenia mnie skusiły, nie nauka, wstydźcie się za Waszą wybraną ciotkę¹⁾, ale tak jest rzeczywiście, że się niczego a niczego na wystawie paryskiej 1867 roku nie nauczyła—co najwięcej, to może tej starożytniej jakiegoś greckiego mędrca mądrości, że dowiedziała się, iż nie wie, o czem *a priori* dość już głęboko była przekonana.”

Czytelnicy listów niniejszych raz jeszcze mają sposobność się przekonać o tém zbyt skromnym „niedocenianiu się” genialnej poetki, której opisom poufnie tylko skreślonym tyle przecież zawdzięczamy trafnych i głębokich spostrzeżeń.

Wanda Żeleńska.



1) Henryk był też jednym z przybranych siostrzeńców-przyjaciół.

F
7978